

**OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE
W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY**

**Wywiad z Władysławem KAŁUDZIŃSKIM (z Olsztyna)
przeprowadzony przez Marię Diatłowicką
w sanatorium w Sopocie, dn. 25 sierpnia 2008 roku**

W rozmowie brała też udział Żona Władysława – Teresa Kałudzińska

Nazywam się Maria Diatłowicka. Jestem ankieterką Fundacji KOS, która prowadzi badania zatytułowane w ramach misji „Ocalmy od zapomnienia”. Celem naszego badania jest zebranie świadectw osób, będących ofiarami represji związanych z wprowadzeniem w grudniu 1981 stanu wojennego. Ponieważ praca ta ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu i kamery.

Czy mógłby Pan przedstawić się?

Władysław KAŁUDZIŃSKI.

Kiedy urodził się Pan i gdzie?

28 listopada 1947 w Nowej Rudzie, obecnie województwo podlaskie, dawniej białostockie. Mała miejscowość, powiat Turów.

Kim byli Pana rodzice, jaki zawód wykonywali?

Rodzice byli rolnikami.

Jakie mieli wykształcenie?

Ojciec miał 2-3 klasy przedwojenne, a matka nie umiała pisać, podpisywała się krzyżkami.

Czy miał Pan rodzeństwo?

Tak, siedmiu braci.

Gdzie mieszkali Pana rodzice?

W Rudzie. Mieli 26 hektarowe gospodarstwo. Ziemia mało urodzajna, piaszczysta, VI klasa.

Czy mógłby Pan opowiedzieć o swoim domu rodzinnym, o atmosferze, o tym, co szczególnie było cenione w Pana rodzinie?

Mieszkaliśmy w drewnianym domku, przytulnym. Chodziliśmy do szkoły boszo, najpierw do 5-ciolatki, a później 7 klasowej. Ojciec był sołtysem, za jego przyczyną powstała szkoła 7 klasowa.

Ojciec był sołtysem? Z tego wynika, że cieszył się jakimś autorytetem.

Ojciec opowiadał, że po wojnie na naszych terenach przez dłuższy czas grasowała

partyzantka. Długo się utrzymywali.

Jaka to była partyzantka? AK-owska? NSZ-owska?

Tego nie wiem. Raczej była związana z AK. Pod lasem mieszkał stary sołtys i go ubili. Po prostu współpracował z władzą, zastrzelili go. Wtedy wybrali mojego ojca, bo miał liczną rodzinę i myśleli, że może będą się litowali i tego nie ustrzelą. Ojciec miał parę ostrzeżeń, żeby nie mieszał się w te sprawy, bo może go spotkać to, co poprzedniego sołtysa. Ja jeszcze pamiętam, miałem 6 lat, obławę. Partyzanci mieli zrobione takie ziemianki i tam nosili im suchary. Ojciec zbierał podatki i kiedyś żołnierze go ostrzelali. Musiał tłumaczyć się, że szedł szybkim krokiem, bo się spieszył, a nie uciekał. To był strach.

Czy Pana ojciec angażował się w jakąś działalność społeczną, albo polityczną? Czy należał do partii?

Nie, nie. Ojciec nie należał do żadnej partii. Był takim gawędziarzem, układał piosenki, śpiewał, przeprowadzał w korowodzie młodych z domu do kościoła, bajki opowiadał wygłaszał okolicznościowe przemówienia.

A co w Pana rodzinie było uważane za szczególnie ważne?

Najważniejsze to były święta. Dzisiaj jemy szynkę na co dzień, ale wtedy to było wydarzenie. Żona zawsze wspomina, że teściowa robiła takie smaczne drożdżówki. Te święta się pamiętało, bo było coś lepszego do zjedzenia.

A czy w młodości należał Pan do jakiejś organizacji społecznej lub politycznej?

Należałem wtedy do harcerstwa.

Jakie było Pana miejsce pracy przed stanem wojennym?

Pracowałem jako diagnosta w Polmozbycie.

Kiedy zaangażował się Pan w działalność opozycyjną?

Po powrocie z urlopu w sierpniu 80 roku, kiedy był ten zryw. W zakładzie już rozdawano ulotki, kierowcy organizowali pomoc dla strajkujących.

Na czym Pana działalność polegała? Gdzie Pan działał?

W Olsztynie, w swoim zakładzie pracy.

Jak powstawała organizacja związkowa w Polmozbycie?

Zaczęliśmy organizować się od września, a wybory były pod koniec roku. Byłem w Komitecie założycielskim, a później w 7-osobowym prezydium. Zakład był w trzech województwach, było 20 takich stacji. W zakładzie, który liczył 1900 osób ponad tysiąc zapisało się do Solidarności.

Czy był Pan w Komisji zakładowej?

Tak. Tych komisji było 20. Później był zjazd tych oddziałowych komisji i wybrano zarząd.

Co Pana skłoniło do podjęcia tej działalności?

Człowiek był młody, nie podobał się ten system i władze, wybory jednopartyjne, brak prawowitych przedstawicieli. Uważałem, że powinno to się zmienić.

Czym była dla Pana działalność opozycyjna, jakie dawała satysfakcje?

Poczucie, że coś się zmienia, że o czymś decydujemy. Oprócz działalności związkowej powołaliśmy Radę Pracowniczą. Dowiedziałem się, że możemy pracować w oparciu o ustawę o Radach Pracowniczych. Przyniosłem tą ustawę, przestudiowaliśmy, wybraliśmy nową Radę Pracowniczą, a w niej przeforsowaliśmy jednego dyrektora – swojego. Nikogo nie wywoziliśmy na taczkach, ta ustawa dawała możliwości działania. Ponieważ byłem delegatem do prezydium związku, zrezygnowałem z Rady Pracowniczej, ponieważ nie można było łączyć tych funkcji.

A czy miał Pan świadomość, że za tę działalność mogą Pana spotkać represje?

Wtedy jeszcze nikt o represjach nie myślał. Chociaż pamiętam, że już wtedy miałem wystąpienie w hali widowiskowo-sportowej, zebranie było otwarte. Zadałem pytanie, czy to, co się dzieje nie przeniesie się na wschód. Później spotkał mnie znajomy Akowiec i mówi: „Waldek! Oni lepiej widzieli, co ten system może zrobić. Cicho. Ty się lepiej nie angażuj, bo to może źle się skończyć. Oni to już przeżyli i wiedzieli”.

Czy znał Pan bezpośrednio osoby, które były skrzywdzone przez władze z powodu zaangażowania opozycyjnego? Wtedy.

Wtedy raczej nie.

A czy obawiał się Pan o losy bliskich, rodziny, przyjaciół?

Przed stanem wojennym nie.

Czy najbliższe osoby wiedziały o Pana zaangażowaniu, czy popierały to, że Pan działa?

Żona wiedziała, przecież nikt tego nie ukrywał. Pewnie, że ta działalność odbijała się na rodzinie, bo wszyscy tym żyli.

Czy udało się Panu pozyskać inne osoby do działalności w związku?

Jak byłem w komisji, to było to moim zadaniem. Ludzie wtedy angażowali się, czuli, że można coś zmienić. Za dużo nie strajkowaliśmy – raz o te wolne soboty i 3-godzinny strajk po wydarzeniach bydgoskich.

Czy odniósł Pan jakieś wymierne korzyści z tej swojej działalności?

Raczej nie.

Czy przed stanem wojennym doświadczył Pan represji związanych z działalnością opozycyjną?

Nie.

Jak długo zajmował się pan działalnością opozycyjną? Kiedy ją Pan zaprzestał?

Nigdy jej nie zaprzestałem. Działam jeszcze teraz. Czyli od 80 roku do dziś.

Gdzie Pan mieszkał w latach 80-81?

W Olsztynie.

Jaki był Pana stan cywilny?

Żonaty. Miałem dwóch synów.

Czy w okresie stanu cywilnego Pana stan cywilny uległ zmianie?

Nie.

Jaki zawód wykonywał Pan w 81 roku?

Diagnosta.

Czym dla Pana było wprowadzenie stanu wojennego? Jak Pan to odebrał?

Było to wielkim zaskoczeniem, ciosem. Rozwiązano niezależne związki zawodowe i inne organizacje, stowarzyszenia. Uderzono obuchem w państwo polskie. Jeszcze wtedy nie mówiło się o odłączeniu od Związku Radzieckiego, a jedynie o uniezależnieniu gospodarczym od wschodu, jakiś tam demokratycznych wyborach. Po wprowadzeniu stanu wojennego były trudności z dotarciem do zakładu pracy, ponieważ pracowaliśmy w systemie zmianowym, a obowiązywała godzina policyjna. Kierownictwo zreorganizowało pracę, aby dojeżdżający pracownicy nie mieli kłopotów.

A czym było wprowadzenie stanu wojennego dla Pana rodziny?

Rodzina przeżywała dopiero wtedy, kiedy mnie zamknęli. Byłem internowany, parę razy zatrzymany. Wcześniej miałem rewizję. Zabrano maszynę do pisania, ponieważ żona, która przepisywała prace magisterskie, pisała na niej również ulotki, - co udowodnili.

W styczniu 82-go do pracy przyszedł ubek, rozmawiali z wszystkimi działaczami, ze mną też. Ostrzegał przed działalnością. Kazał napisać, co ja robiłem w tym zakładzie. Byłem tak podekscytowany, że chciałem napisać jak najwięcej, ale ubek powiedział, że nie trzeba - sąd mnie osądzi. Dał mi do podpisania lojalkę. Nie podpisałem, ale jak zagrozili, że jak nie podpiszę, to mnie internują, to podpisałem. W ten sposób przedłużyłem sobie o dwa miesiące przebywanie na wolności. Byłem w zakładzie obserwowany, wiadomo było, że w dużych zakładach każdy dyrektor i kierownik współpracowali z UB. W zakładzie były rozrzucone ulotki, między innymi ja rozrzuciałem. Przed 1-ym i 3-im maja miałem jakieś ulotki, mieliśmy jakieś kwiaty składać. Chcieli mnie zatrzymać, nie chciałem iść, ale dyrektor dał mi polecenie służbowe, żebym poszedł na komendę. Poszedłem i stamtąd nie wróciłem.

A gdzie był Pan internowany?

W Iławie, a później w Kwidzynie. W Kwidzynie byłem ciężko pobity, do nieprzytomności. W Kwidzynie był zbiór internowanych z całej Polski. Likwidowano ośrodki dla internowanych i przewożono do Kwidzyna. Czasem siedziały całe rodziny, np. Łaskich. Siedziało trzech synów i ojciec, każdy gdzie indziej, a matka cały miesiąc jeździła, u każdego była raz w miesiącu. Ze względu na to, że przyjeżdżały rodziny z całej Polski, pomieszczenia na widzenia były za ciasne. Wtedy już w Kwidzynie były pewne luzy, było pewne porozumienie z dyrektorem więzienia. Można było grać, cele były otwarte od 8-ej do 8-ej, do 10 wieczór mogło palić się światło. Wynegocjowaliśmy z dyrektorem, że widzenia będą na dworze, chyba, że będzie za zimno. Dzięki temu wszyscy mieli dłuższe widzenia – 3 godziny. Przygotowywaliśmy ławki i stoły na dworze. Któregoś razu kolega z Siedlec wyszedł razem z rodziną. Dyrektor powiedział, że następnej niedzieli nie będzie widzeń, ale przyjechał do nas biskup, to nie wypadło. Później było 13-go, a każdego 13-go wywieszaliśmy na zewnątrz flagę. Dało się odczuć napięcie. Niektórzy klawisze mówili – jeszcze trochę, a dostaniecie w tyłek. Następnego dnia, 14-go była niedziela. Zmieniono komendanta, bo tamten był za ugodowy. Nowy odwołał widzenia. Powstał bunt. Do dyrektora więzienia wydelegowaliśmy trzy osoby. Rozmowy nic nie dały. To wszystko było zaplanowane. Podczas negocjacji ktoś wszedł i powiedział: „już”, a komendant powiedział „Kończę rozmowy, widzeń nie będzie”. Wtedy część kolegów skoczyła na dach, a niektórzy na drugą stronę. Jeden nawet przeciął siatkę. Ja też wszedłem na tą górę, na dach. Widziałem całość tego zajścia. Przyjechała grupa szturmowa wyposażona w kaski, tarcze, pały, ze 30 osób, nawet z

psem. Ze Sztumu. Wtedy to wszystko spacyfikowali. Przyjechała straż ogniowa. Strażak Gołuch odmówił polewania nas wodą, zachował się jak prawdziwy... Powiedział, że przyjechał gasić pożar, a nie... Ja myślę, że wśród internowanych byli prowokatorzy, bo niektórzy podpalali materace, rzucali je. To nie zostało do końca wyjaśnione. Sprawa jest w IPN w Gdańsku i cały czas się toczy.

Czy to skończyło się jakimś procesem?

To skończyło się tak, że 80 kilka osób zostało dotkliwie pobitych, ponad 19 było hospitalizowanych. Ja jako pierwszy, ponieważ zostałem pobity do nieprzytomności. Doznałem ciężkich obrażeń mózgu, także później nie mogłem poruszać się o własnych siłach. Tym najciężej pobitym zrobiono sfingowany proces. Dostaliśmy zarzut „czynna napaść na funkcjonariuszy więziennych”, chociaż żaden funkcjonariusz nie doznał najmniejszych nawet obrażeń. 9 września rozpoczął się proces, prokurator przedstawił akt oskarżenia. Ważne, że sąd w Kwidzynie nie zgodził się na aresztowanie nas. Zostaliśmy przewiezieni do Elbląga. Po 30 dniach rozprawy ogłoszono wyrok, najwyższy był około 2 lat.

A jaki wyrok Pan dostał?

Rok i jakąś grzywnę.

Czy później, po wyjściu z więzienia miał Pan rewizje, przesłuchania? Czy stosowano wobec Pana jakieś formy zastraszenia?

Wypuszczono nas ze względu na przyjazd papieża. Miałem wtedy dozór policyjny. Długo leżałem w szpitalu, z powodu tego pobicia przeszedłem na rentę inwalidzką. Jestem na niej do dziś.

Został Pan wyeliminowany z życia zawodowego. I to jest najważniejszy skutek tych wydarzeń, prawda?

Tak. Po wyjściu z więzienia byłem obserwowany, zgłaszałem się na komendę, były różnego rodzaju przesłuchania. Później były jeszcze takie sprawy. Frasyniuk siedział w Barczewie i uważałem, że powinienem być na jego sprawie, podobnie, jak na nasze sprawy ludzie też przychodzili. W sądzie wojewódzkim w Olsztynie zatrzymali mnie i kolegę na 42 godziny. Następnie 31 sierpnia 88 roku wyszliśmy z kościoła po mszy za Ojczyznę i nieśliśmy transparent „Solidarność”. Później zorientowałem się, że ktoś za mną idzie, więc zacząłem uciekać. Złapali mnie i „w locie” wciągali do samochodu. Krzyczę „Bandyci! Mordują!” głośno, żeby było słychać. Zatrzymali na 48, dostałem kolegium. Dostałem grzywnę 50 000 tysięcy. Za pośrednictwem Krystyny dostałem tą sumę od księdza. W 90-tym roku zwrócili mnie je, a ja oddałem, co dostałem.

Czy Pana rodzina była w jakiś sposób prześladowana?

Na pewno rodzina ucierpiała, bo nachodzili.

A czy żona miała kłopoty w pracy?

Żona: Pracowałam w „Kombatancie” – domu opieki społecznej. Miałam dyrektora wojskowego. Wiedziałam, że na wojskowych można liczyć. Szef zaprosił mnie na rozmowę i powiedział, że jeżeli czegoś potrzebuję, to mi pomoże, tylko żeby o tym nikomu nie mówić. Byłam ostrożna, dyskretna. Z pomocy naszego prawnika korzystałam. Oczywiście służba bezpieczeństwa szefa nachodziła, chcieli, aby zwolnił mnie z pracy. On im mówił, że nie ma podstaw, jestem dobrym pracownikiem itd.

Były też trudne momenty, kiedy szukałam męża. Zabrali go 28 kwietnia 82 roku przed 1-ym i 3-im majem. Nie wiedziałam, gdzie jest. Dostałam od kierownika zaświadczenie, że mam zgłosić się na komendę, ale nie wiedziałam, którą. Chodziłam od jednej komendy do drugiej. Chodziłam wszędzie, odsyłali mnie. Nigdzie go nie ma, do domu nie wracał. 1-go maja poszłam na pochód 1-majowy, żeby dowiedzieć się od dyrektora, co się z nim stało. Inne żony zatrzymanych podobnie. Byłyśmy trochę przerażone, bo mówili, że mogli ich wywieźć na białe niedźwiedzie. (M.D. - wyjaśnienie: wówczas tak określano wywózki w głąb Rosji). Staralam się nie okazywać dzieciom zdenerwowania, ale one je wyczuwały i też były zaniepokojone. Miałam dobre koleżanki, na które mogłam liczyć, zaopiekowały się dziećmi, wtedy, kiedy ja szukałam męża. Zastraszała mnie wtedy, grozili, że może stać się krzywda mnie i dzieciom, przejechać samochód. Wiadomości z telewizji też nie należały do przyjemności.

Zostałam powiadomiona przez znajomych, że męża zabrali spod kościoła. Wróciłam do domu, a tu już szwadron. Służba bezpieczeństwa przyszła na rewizję. Podczas rewizji mój syn schował kasety z nagraniami z wydarzeń w Bydgoszczy (M.D. wyjaśnienie: pobicie działaczy Solidarności podczas sesji Rady Miejskiej, na którą zostali zaproszeni). Kiedy młodszy syn zaczął wrzeszczeć, krzyczeć dali spokój, dalej nie szukali. Chcieli jechać na rewizję na działki, ale był już późny wieczór, nie zgodziłam się. Kiedy męża nie było, stawiałam opór. Kiedy podczas rewizji przyszli znajomi, nie zgodziłam się, żeby ich wyprosilili. Powiedziałam „Ja tu jestem gospodarzem i nikogo nie będą wyrzucać z mieszkania”. Robiłam znajomym kawę, oni też chcieli, powiedziałam, że nie są moimi gośćmi, więc nie będę im robić. Z toalety chciał skorzystać, to ja mówię, że to nie jest toaleta publiczna. Chciał zadzwonić do żony, ja mówię – jakim prawem.

Czy w okresie stanu wojennego otrzymał Pan pomoc od jakiś osób, czy organizacji?

Tak, Komisja Zakładowa opiekowała się. Żonie przynosili jakieś pieniądze. Prócz tego korzystaliśmy z pomocy kościoła. Także ksiądz Bożyszkowski dawał jakieś pieniądze. Dzieci dostały piękne ubranka. Ale w tych punktach pomocy różne rzeczy się działy, nieraz było nieprzyjemnie, traktowano jak intruza. Żona przestała chodzić. Ale w każdym razie pomoc była. Czasem znajomi coś przynosili. Na święta przyszło tyle paczek z zagranicy, że zatrzymaliśmy tylko to, co nam się przydało, a resztę odnieśliśmy do kościoła do tego punktu pomocy. Jak wyszedłem z więzienia, to przestaliśmy korzystać z pomocy, bo było to dla mnie upokarzające. Jak koledzy przynosili pieniądze, to mówiłem, że więcej nie chcę.

Czy była kiedyś taka sytuacja, że zwrócili się Państwo do kogoś z prośbą o pomoc, a ten ktoś odmówił?

Żona: Nie, nie było takiej sytuacji. Chociaż mogło mi być najciężej, to nie zwracałam się. Kiedyś koledzy z zakładu pracy po wypłacie zrobili składkę i ktoś mi przyniósł. Wiadomo - mąż zwolniony z pracy, jedne pobory, mąż stale chorował, pieniądze były potrzebne i na podróże i na leki i na paczki. Trudna była sytuacja materialna.

Po wyjściu z więzienia poszedłem do księdza, a on załatwił mi pracę u znajomego rolnika. Rolnik dawał trochę jajek, mięsa. Oboje z żoną byliśmy u niego na wykopkach, ziemniaki kopaliśmy. Taka praca fizyczna uspakajała nerwy, które miałem poszarpane

Poniósł Pan bardzo poważne konsekwencje, bo stracił Pan pracę, zawód,

zdrowie.

Ubek powiedział: „Pan pracy nie dostanie”. A mój stan zdrowia był taki, że lekarz od razu wypisał mi skierowanie na rentę.

Czy wskutek tego, że Państwo mieli te kłopoty ktoś od Państwa odwrócił się, przestał utrzymywać kontakty?

Żona: Byli tacy, co przestali przychodzić. A matka jednego z najlepszych kolegów syna interweniowała w szkole, żeby jej syn z naszym nie siedział, bo ojciec jest w więzieniu.

Najważniejsze konsekwencje, to pogorszenie stanu zdrowia, utrata pracy. A czy wskutek tego, że przeszedł Pan na rentę Pana pozycja w rodzinie, wśród znajomych pogorszyła się?

Szczerze mówiąc, to znajomych nie utraciliśmy, a nawet poszerzyliśmy grono znajomych.

Czy zawarł Pan jakieś ważne znajomości, czy przyjaźnie w tym okresie?

Tak. Pozostały więzi internowanych. Można liczyć na tych ludzi. Odwiedzamy się, kontaktujemy. Mówimy – nie martw się, ja mogę przespać się i na podłodze i (żartem) na styropianie.

Stan wojenny decydująco wpłynął na Pana życie. Ale w ostatnich latach ma Pan poważne osiągnięcia. Podjął Pan działalność wydawniczą.

Jestem przewodniczącym Stowarzyszenia Represjonowanych Regionu Warmińsko-Mazurskiego. Opracowujemy te trudne czasy, wydaliśmy 5 książek, jestem ich współwydawcą. To ciężka robota. Oprócz tego – wzajemna pomoc. Mamy nie dużo pieniędzy, ale fundujemy jakieś zapomogi. Powołaliśmy Stowarzyszenie im. Antonowicza, które funduje skromne stypendia dla biednej zdolnej młodzieży. Rocznie 1200 zł, wypłacane w ratach po 200 zł. W tym roku - 12 takich stypendiów. Zarzucają nam, że żyjemy przeszłością, a te stypendia to nasze myślenie o przyszłości.

Żona: Jak się wyuczają, to innym pomogą.

A czy Pana zdaniem wprowadzenie stanu wojennego miało jakieś dobre strony?

Może to, że to było takie ogólnopolskie szkolenie i to, że ludzie zahartowali się w działaniu. Zawsze z tego zła jest jakieś dobro.

A jak ogólnie ocenia Pan PRL? Co było w nim najlepsze, a co najgorsze?

To było zło po prostu. Ten system wyrósł z przemocy i był oparty na przemocy. Cały czas szukał wrogów, a inaczej myślących zamykał do więzienia (nawet własnych ludzi).

A jak ocenia Pan zmiany, które zaszły po 89 roku? Czy coś zmieniło się na lepsze, a może coś na gorsze?

Na pewno na lepsze, bo żyjemy w kraju demokratycznym, już nikt nikogo nie zamyka za słowo. Już każdy może wydać co chce, to tylko kwestia pieniędzy. Mamy państwo demokratyczne na zasadzie: kogo chcemy, to wybierzemy. W partiach źle się dzieje i niektórzy mówią: „Tej demokracji już dość”. Jestem bezpartyjny, więc łatwo mogę sobie pokrytykować, ale mówię: „Jak źle się dzieje, to załóż partię, wygraj wybory i pokaż, że my będziemy rządzili lepiej.”

Żona: Nie trzeba teraz stać w kolejkach, nie ma pustych półek.

Trzeba pamiętać, że żeby zrealizować kartki, trzeba było stanąć w kolejce o 5-tej rano. Ja nieraz stawałem o 2-ej, 3-ej.

Czy obecnie mieszka Pan z rodziną?

Nie, tylko z żoną. Dorosłe dzieci usamodzielnili się, mam wnuki.

Jak ocenia Pan swoją obecną sytuację materialną?

Żona ma emeryturę, ja mam rentę. Jest nieźle, zresztą nigdy nie narzekałem na swoją sytuację materialną.

Czy rodzina odczuwa dumę z tego powodu, że prowadził Pan działalność opozycyjną?

Żona: Oczywiście, zwłaszcza, że sama w niej pomagałam. Mąż jednak mówił, że w domu nie może być dwóch działaczy, bo są dzieci. Przepisywałam ulotki, kolportowałam je. Opracowałam specjalny system, podkładki- żeby nie było słychać stukotu maszyny, bo obok za ścianą mieszkał komendant milicji.

Jak organizujemy jakieś spotkania, to żona przygotowuje materiały, prowadzi naszą stronę internetową, przyjmuje pocztę.

Czy ubiegał się Pan o odszkodowanie za szkody, jakich doznał Pan w stanie wojennym?

Tak, jeszcze wtedy, kiedy nikomu się nie śniło; w 86 roku założyłem sprawę o odszkodowanie. Dziwili się, że z komuną chcę wygrać. Sprawa trwała 3 lata, wygrałem na samochód, ale przyszła wielka inflacja i prawie nic nie zostało.

A czy uzyskał Pan jakieś wsparcie finansowe z jakiś innych źródeł, z zagranicy?

Tak, od osoby prywatnej z Norwegii. Do tej pory utrzymujemy kontakt, korespondujemy. Zaprosił mnie, odwiedziłem. Niektórzy dostawali pomoc zagraniczną, ale nigdy te sprawy nie zostały do końca wyjaśnione.

Gdzie Pan obecnie mieszka?

W Olsztynie, kod 10-437, ul. Dworcowa 36 m.27, tel. 0-89 534 35 55 .

Podpisujemy (zgodę na wykorzystanie wywiadu do dalszych opracowań i publikacji)

Dziękuję bardzo za rozmowę. Bardzo się cieszę, że mogłam Państwa poznać i porozmawiać.

Miło było.